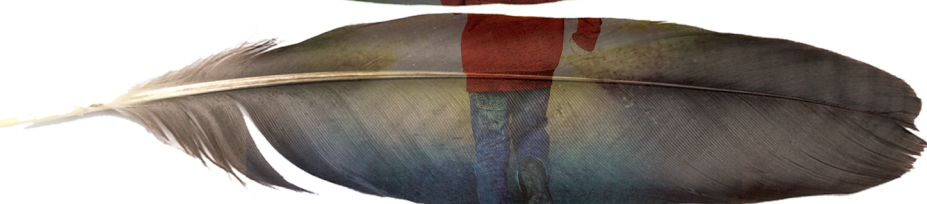


SIMON TOYNE



CHŁOPIEC,
KTÓRY
WIDZIAŁ



1

Nic nie pachnie tak jak krew.

Krew zmieszana ze strachem to coś jeszcze innego. Josef Engel nie czuł tej woni od ponad siedemdziesięciu lat – lecz pamiętał ją tak dobrze, jakby te lata nic nie znaczyły. Tym razem on sam był jej źródłem.

Patrzył na swoje skurczone ciało, choć głowa zbyt mu ciążyła, by mógł ją podnieść. Stara skóra zwisała luźno niczym płótno narzucone na ramę żeber. Na jej białym tle krew jaśniała jaskrawą czerwienią, spływając z ran, które tworzyły na jego piersiach gwiazdę Dawida. Inne rany łaskotały, krwawiąc – rozcięcia na plecach, gdzie uderzał bicz, nakłucia pozostałe po czymś, co zaciskało się na jego ciele, wywołując nowy, nieznanymu ból, choć sądził, że zna już wszystkie rodzaje cierpienia. Ból był teraz wszystkim, palił ogniem całe ciało, dziwnie zwiotczałe i bezużyteczne.

Tamten mężczyzna przyszedł tuż przed zamknięciem sklepu, wszedł do środka i wziął Josefa w objęcia jak stary przyjaciel. Josef oddał uścisk, zaskoczony zachowaniem człowieka ubranego na czarno i przypominającego cień. Potem poczuł ukłucie na szyi i próbował się odsunąć, lecz człowiek cień trzymał go mocno, a zimne odrętwienie rozchodzące się od nakłu-

cia wkrótce objęło całe ciało starca. Próbował wzywać pomocy, ale z jego ust wydobył się tylko zdławiony jęk, a głowa, której nie mogły już udźwignąć zwiotczałe mięśnie szyi, opadła bezwładnie do przodu. W pobliżu i tak nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć, a mężczyzna w czerni musiał o tym wiedzieć, bo nie spieszył się ani nie denerwował, prowadząc Josefa między bezgłowymi manekinami do wnętrza pracowni. Starzec osunął się na podłogę na środku pomieszczenia przy wtórze głośniego trzaskania artretycznych kolan – kolejne wspomnienie sprzed siedemdziesięciu lat.

Josef obserwował, jak cień mężczyzny, oświetlonego blaskiem wpadającym przez świetliki nad pracownią, porusza się na wypolerowanej drewnianej podłodze. Intruz zdjął z niego koszulę, a potem podsunął mu pod oczy lśniące ostrze. Obrócił je powoli, by światło ukazało ostrą krawędź stali, po czym przesunął je na pierś starca i przeciął jego ciało do kości. Krew z rany wypłynęła na białą skórę i zaczęła skapywać na podłogę. Josef patrzył na to wszystko w bezruchu i wstrzymywał oddech, rozrywany eksplozjami bólu, które spowodował nóż mężczyzny. Zastanawiał się, jak to możliwe, że w jego starym ciele zachowało się jeszcze tyle cierpienia, i dlaczego substancja, która sparaliżowała mięśnie, nie blokuje bólu. Był więźniem we własnym ciele, czuł wszystko, lecz nie mógł nic zrobić, by powstrzymać męczarnie. Najpierw zrobiło mu się ciepło, gdy jego pęcherz i jelita pozbyły się swojej zawartości. Gdy poczuł znajomy smród, zaczął płakać, bo upokorzenie również było bolesne.

Josef nie bał się tak bardzo od czasów wojny, kiedy ból i śmierć towarzyszyły mu na co dzień w obozach pracy. Wtedy wymknął się śmierci, ale teraz go dopadła. Obserwował cień, który przesunął się po podłodze, słyszał trzask otwieranego zamka w drzwiach frontowych i łudził się przez moment, że człowiek

w czerni wychodzi. Potem jednak drzwi ponownie zamknięto i cień powrócił, stawiając coś przed nim na podłodze.

Oczy Josefa zaszyły łzami, kiedy odczytał wyblakłe złote litery na drewnianej skrzyni maszyny do szycia – Pfaff. Na maszynie tej marki uczył się szyć, zanim nadeszła wojna i świat ogarnęły ciemności, gdy jedynym, czego pragnął, było słuchanie terkotu igły i tworzenie na niej pięknych rzeczy. W kopolastej pokrywie maszyny wywiercono kilka otworów, po jednej stronie umocowano małe drzwiczki zamykane na zasuwę. Z wnętrza dochodziło ciche skrobanie.

– *Du weißt warum dies dir passiert?*

Nieznajomy mówił po niemiecku z silnym akcentem. Josef nie rozpoznawał jego głosu. Znowu spróbował podnieść głowę, lecz nadal była zbyt ciężka.

– Wiesz, dlaczego cię to spotkało? – spytał ponownie mężczyzna i przed twarzą Josefa pojawił się telefon. Światło bijące z ekranu wydawało się zbyt jaskrawe w wieczornym mroku.

– *Erinnerst du dich daran?* – pytał dalej nieznajomy.

Josef zmrugał oczy i spojrzał na czarno-białą fotografię wyświetloną na telefonie.

– *Erinnerst du dich daran?* – powtórzył człowiek w czerni. – Pamiętasz to?

Josef pamiętał.

Po ekranie przesunął się palec, pokazując kolejne zdjęcia, obrazy straszliwych rzeczy, które Josef widział kiedyś na własne oczy: sterty ciał w zbiorowych grobach, szkielety za drutami kolczastymi, kłęczące w błocie, zbyt słabe, by ustać na nogach, w obozowych pasiakach wiszących na kościstych ramionach. Pochylały nisko ogolone głowy przed mężczyznami w szarych mundurach, którzy w obleczonej rękawiczkami dłoniach trzymali baty i pistolety lub napięte smycze z szarpiącymi się na nich warczącymi wściekle psami.

– Powinieneś być zdechnąć w obozie – powiedział nieznajomy. – Powinniśmy byli wytrzeć tę plamę, jaką jesteś, gdy mieliśmy ku temu okazję.

Josef wpatrywał się w zapadnięte oczy więźniów i wyobrażał sobie kościste ręce, które sięgają ku niemu przez dystans siedemdziesięciu straconych lat i wbijają się w jego pierś.

– *Der bleiche Mann* – wyszeptał bełkotliwie, z trudem poruszając zdrętwiałym językiem.

Cień na podłodze przysunął się bliżej.

– Opowiedz mi o nim. Opowiedz mi o bladym człowieku.

– *Er kommt* – odparł Josef, przywołując z pamięci słowa języka, którym nie mówił od dziesięcioleci. – On nadchodzi.

Jego umysł zasnuwał się mgłą, otumaniony straszliwym bólem, który przenikał pierś.

– Uratuje mnie *und die Anderen...* *Comme la dernière fois*. Przyjdzie i znów nas uratuje.

– *Die Anderen* – powtórzył za nim mężczyzna. – Opowiedz mi o innych. Opowiedz o tym, co stało się w obozie. Powiedz, jak się nazywałeś i wyznaj mi wszystko.

Josef zawahał się na moment, a gdy zaczął mówić, słowa wypływały z jego ust nieprzerwanym strumieniem, uwolnione środkiem, który wstrzyknął mu napastnik, oraz świadomością, że dopóki nie przestanie, będzie żył.

– Schowałem ją w bezpiecznym miejscu – zakończył swoją opowieść. Czuł mrowienie w palcach, co oznaczało, że środek obezwładniający przestaje działać. Sięgnął do miejsca, gdzie upiorne ręce wbijały się w jego pierś, i ból znów przybrał na sile.

– Co schowałeś w bezpiecznym miejscu?

– Listę – wydyszał Josef.

– Opowiedz mi o liście.

– *Der weiße Anzug*. – Starzec przycisnął dłonie do piersi, jak-

by próbował w ten sposób zdławić ból. – Biały garnitur. Obieca-
liśmy, że go przechowamy, i zrobiliśmy to. Przez wszystkie te lata
dbaliśmy o niego.

Josef zdołał unieść trochę głowę. Zobaczył sylwetkę mężczy-
zny w czerni widoczną na tle blednących świetlików. Nieznajomy
pochylił się nad nim, a starzec zamknął oczy, przygotowując się
na kolejną eksplozję bólu, lecz poczuł tylko delikatny dotyk na
twarzy. Uniósł powieki i ujrzał białą chusteczkę, którą mężczyzna
ocierał krew wokół jego oczu, delikatnie niczym matka ocierająca
buzię dziecka z dżemu. Josef zaczął płakać, poruszony tym życzli-
wym gestem. Wyczuł środek dezynfekujący na dłoniach mężczy-
zny i dostrzegł na nich rękawiczki chirurgiczne w kolorze skóry.

– Pamiętasz obóz? – zapytał napastnik. – Pamiętasz, jak to
wyglądało pod sam koniec, wszystkie te ciała zrzucane na jedną
stertę, których nie miał kto pogrzebać? – Przynął się do dREW-
nianego pudła i wycisnął krew Josefa z chusteczki. – Pamiętasz
szczury? – Pochylił się i wsunął skrawek pokrwawionej tkaniny
w jeden z otworów. Skrobanie dochodzące z wewnątrz wyraźnie
przybrało na sile. – Ludzie wyglądali jak chodzące szkielety, ale
szczury nigdy nie głodowały, prawda? – Coś pociągnęło za chus-
teczkę i wciągnęło ją do środka przy akompaniamencie głośnych
pisków i drapania. – Złapałem te szczury w pobliżu kurzej fermy,
prawie tydzień temu. Od tej pory mogły zjadać tylko siebie na-
wzajem. Ciekawe, ile ich zostało? – Sięgnął do zasuwki zamy-
kającej drzwiczki i Josef poczuł, jak w jego piersiach eksploduje
bolesne przerażenie. – Możesz powiedzieć mi coś więcej o białym
garniturze, a wtedy nie otworzę tego pudełka.

Łzy spływały po twarzy Josefa, paliły solą otwarte rany na
jego piersiach. Ból przybierał na sile, stawał się nie do zniesienia.
Tak naprawdę nigdy nie uciekł od obozu. Zawsze nosił go w so-
bie, a teraz koszmar znów z niego wychodził.

– Opowiedz mi o białym garniturze. – Mężczyzna odsunął zasuwkę, ale nie otworzył drzwiczek.

– Blady mężczyzna – zaczął Josef, drżąc niepohamowanie na całym ciele i dysząc ciężko. – Zrobiliśmy to dla niego. – Odwrócił wzrok od pudła i spojrział na drzwi, jakby łudził się, że zobaczy tam tego człowieka. – Powiedział, że wróci po to. Mówił też, że dzięki temu będziemy bezpieczni. Zawarliśmy umowę. On...

Pierś Josefa wypełnił nieopisany ból, wybuchające szkło i ogień, które pozbawiły go oddechu. Otworzył szeroko oczy i zgiął się wpół, nadaremnie chwytając ustami powietrze. Przetoczył się na bok i zobaczył napastrzek leżący głęboko pod jednym ze stołów, zużyty i wygięty przez lata pracy, dopasowany idealnie do palca, ten sam napastrzek, który miał w obozie w tamtej piwnicy. Zgubił go przed miesiącem i szukał wszędzie. A teraz widział ten napastrzek, lecz nie mógł po niego sięgnąć. Ból pochłaniał Josefa w całości. Ciągnął w dół. Oprawca opadł na kolana, zasłaniając swoim ciałem napastrzek. Josef poczuł zapach gumy i środka dezynfekującego, potem palce mężczyzny dotknęły jego szyi, szukając pulsu. Znów zobaczył nad sobą sufit, gdy mężczyzna obrócił go na plecy. Usłyszał głuchy odgłos pięści uderzającej w jego pierś i trzask pękającego żebra, nie czuł już jednak niczego, bo ból wypełniający ciało pochłonął wszystkie inne doznania.

Josef przeniósł wzrok wyżej, ponad sylwetkę mężczyzny, na ciemniejące niebo, po którym płynęły rzadkie białe chmury. Pracował w tym pomieszczeniu ponad czterdzieści lat, ale pierwszy raz spojrział w górę. W obozie również nigdy nie patrzył na niebo, oglądanie takiego prostego, nieograniczonego piękna zawsze sprawiało mu zbyt wielki ból, gdy z zewsząd otaczała go brzydota i groza.

Mężczyzna wciąż walił pięścią w jego pierś, lecz Josef wiedział, że daremnie się trudzi. Nie było już odwrotu. Człowiek

w białym garniturze nie nadejdzie. Josef nie oszuka śmierci po raz drugi. Wziął ostatni, głęboki i drżący, oddech. Wbił wzrok w granatowe niebo. I zamknął oczy.

Przestał walić w kruchą pierś starca i spojrzał na jego okaleczone ciało. Widział linie żeber pod warstwą krwi i cienką jak papier skórą. Obserwował je przez chwilę, by sprawdzić, czy się poruszają. Znieruchomiały na zawsze.

Wyjął z kieszeni następną chusteczkę, zwinął ją w kulkę, otarł wilgotny, zakrwawiony zarys gwiazdy, po czym wstał z kolan i przeszedł przez milczący tłumek bezgłowych manekinów do ściany po drugiej stronie pracowni. Przyciskał zakrwawioną chusteczkę do białej powierzchni i przesuwał ją powoli, a gdy robiła się sucha, wracał do zwłok krawca i ponownie nasączał ją krwią. Kiedy skończył, było już całkiem ciemno, widział jednak, co udało mu się napisać na ścianie. Śmierć nie była wystarczającym ostrzeżeniem dla *die Anderen*, musieli wiedzieć, że ich też to czeka, czuć oddech przeznaczenia na plecach, tak samo jak w obozach.

Zaczął przeszukiwać pracownię. Wiedział, że do rana nikt nie będzie tu zaglądał, nie spieszył się więc, pracował w miarowym tempie. Sprawdził również dom, szukając listy i garnituru, o których mówił Josef Engel. Niczego nie znalazł.

Gdy skończył, stanął pośrodku pracowni i patrząc na nieruchomą postać leżącą na podłodze, wsłuchiwał się w piski i skrobanie szczurów oraz w dźwięk zegara wybijającego północ. Zastanawiał się, czy Josef nakręcał go dziś rano, nieświadom, że zegar będzie tykał jeszcze długo po tym, jak przestanie bić jego serce. Czas starca dobiegł końca. Taki sam los wcześniej czy później czekał każdego człowieka – wkrótce także i jego.

Czuł zmęczenie i pustkę, ból w głowie znów przybierał na sile, lecz on jeszcze nie wykonał swojego zadania w całości. Podeszedł do drewnianego pudełka, odsunął zasuwkę i otworzył drzwiczki. Z wnętrza wypadły niewyraźne, podłużne plamy, skrawki ciemności, które pędziły po wypolerowanej podłodze do źródła zapachu krwi. Obsiadły całą chmarą okaleczone zwłoki, piszczały i walczyły między sobą o stygnące ciało.

Mężczyzna przyglądał im się przez dłuższy czas, słuchając tykania zegara i myśląc o liście, o tym, co przegapił, i o tym, co musiał jeszcze zrobić, nim to wszystko się skończy.

2

Madjid Lellouche odciął kolejną uschniętą łodygę, nim podniósł wzrok. Wiedział, że będzie miał kłopoty, jeśli jego pracodawca zauważy, że choć na chwilę przestał pracować, coś jednak kazało mu przystanąć i odwrócić się – i wtedy go zobaczył.

Mężczyzna oddalony o jakieś pięćdziesiąt kroków pojawiał się i znikał za szpalerem platanów rosnących przy rzymskiej drodze, która pojawiała się tutaj mniej więcej w tym samym czasie co winnice. Droga biegła dokładnie za miejscem, gdzie pracował Madjid, w dole zbocza, więc żaden ruch nie mógł przyciągnąć jego wzroku. Mężczyzna był również na tyle daleko, że Madjid nie mógł usłyszeć jego kroków, nawet gdyby wiatr wiał w odpowiednim kierunku. Lecz tego dnia w ogóle nie było wiatru, tylko słońce, mgła rzednąca nad ziemią i zapowiedź upału, który będzie mu ciążył jak kamień i wysuszał na proch ziemię między winoroślami.

Madjid przysłonił ręką oczy i obserwował mężczyznę, który pojawiał się raz po raz między drzewami, brodząc w porannej mgle. Był blady, szczupły i wysoki, nosił jasną marynarkę, która wydawała się bardzo stara, miał białe jak śnieg włosy, choć wyglądał młodo, poruszał się z gracją tancerza, a nie z ciężką sztywnością typową dla starych, niedołączonych ludzi. Madjid wytężył

śluch, ciekaw, czy usłyszysz ponad brzęczeniem owadów kroki nieznajomego, lecz do jego uszu doszedł tylko trzask łamanej gałązki i świst bambusowego kija przecinającego powietrze. Ułamek sekundy później poczuł nagły, piekący ból.

– Za co ci, kurwa, płacę?

Madjid odwrócił się w miejscu i podniósł ręce, by osłonić się przed następnym ciosem.

– *Désolé!* – zawołał, cofając się przed mężczyzną uzbrojonym w kij. – *Désolé, monsieur.*

Wpadł na rząd winorośli, strącając na ziemię kilka pomarszczonych, naznaczonych zarazą gron.

– Nie przepraszaaj, tylko bierz się do roboty.

Bambus znów opadł ze świstem, tym razem trafiając ofiarę w przedramię. Madjid opadł na kolana. Przez szparę między uniesionymi rękami widział wielką spoconą postać Michela LePoux i złość płonąca w jego świńskich oczkach, osadzonych w mięsistej czerwonej twarzy.

– *Désolé, monsieur LePoux* – powtórzył.

Bambus ponownie powędrował w górę i Madjid zamknął oczy, przygotowując się na kolejny cios. Znów usłyszał charakterystyczny świst i trzask kija uderzającego o skórę, nie poczuł jednak bólu. Otworzył oczy i spojrzał w górę. LePoux wciąż stał przed nim, jego sylwetka odcinała się wyraźnie od błękitnego nieba – podobnie jak sylwetka mężczyzny z drogi.

– Au... – powiedział nieznamy głosem, który brzmiał jak przytłumiony grzmot i jak delikatny szum wiatru zarazem. – *Ça fait mal.* – To bolało. Przeciągał słowo *mal* podobnie jak miejscowi, tak że brzmiało raczej jak *mel*.

LePoux szarpnął za bambus, próbując wyrwać go z dłoni mężczyzny, ale ten trzymał kij bez większego wysiłku, choć był zapewne dwa razy lżejszy od właściciela winnicy. LePoux przestał się mocować i spojrzał groźnie na obcego.

– Wkroczył pan na prywatny teren.

– A pan dokonał brutalnej napaści – odrzekł mężczyzna. – Jak pan myśli, które z tych przestępstw jest cięższe?

– Przeszłość? – LePoux splunął na ziemię. – Nie ma mowy o żadnym przestępstwie. Ten człowiek jest mój, a co robię ze swoją własnością na swojej ziemi, to tylko i wyłącznie moja sprawa.

Ponownie szarpnął za bambus i niezajomy tym razem go wypuścił, sprawiając, że LePoux poleciał raptownie do tyłu. Pochwytał się winorośli, strącając na ziemię kolejne grona. Mężczyzna pochylił się, by podnieść jedno z nich.

– Pański kraj zlegalizował niewolnictwo w tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym roku. – Zgniół grono, powąchał różowy sok, oblizał palec i spojrzał na LePoux. – Więc jak ten człowiek może być pańską własnością?

LePoux stanął prosto i oderwał przepoconą koszulę od ciała.

– Nie wiem, kim pan jest, monsieur. Mówi pan z miejscowym akcentem, ale wiem, że nie mieszka pan w tej okolicy, bo znam tu wszystkich – prawników, sędziów, wszystkich. Pana nie znam, ale wiem, że wtargnął pan na moją ziemię, więc jeśli przegonię pana stąd tym kijem czy strzelbą, nikt nie będzie miał do mnie pretensji.

Podniósł bambus, lecz niezajomy nawet nie drgnął.

– Od jak dawna ta ziemia należy do pana? – spytał.

– Moja rodzina ma tę winnicę od pięciu pokoleń – odparł LePoux, dumnie wypinając pierś.

Mężczyzna patrzył na niego przez chwilę, a potem pokręcił powoli głową.

– Szkoda, że nie przekaże jej pan szóstemu pokoleniu.

LePoux poczerwieniał jeszcze bardziej, a jego knykie zrobiły się białe. Uderzył z całej siły, mierząc w niezajomego. Był szybki, ale tamten był jeszcze szybszy. Błyskawicznie odsunął się na bok. Bambusowa tyczka uderzyła w ziemię tam, gdzie przed momen-

tem stał. LePoux stracił równowagę i poleciał do przodu, nieznamy zaś stanął na kij i złamał go na pół z głośnym trzaskiem, a potem obrócił się w miejscu i kopnął LePoux z taką siłą, że ten przeleciał przez winorośle i wylądował w następnym rzędzie, opleciony drutami i liśćmi.

Mężczyzna wygładził marynarkę i podał rękę Madjidowi, pomagając mu wstać. Jego dłoń była twarda jak marmur i silna jak ręka kowala, choć pozbawiona zgrubień i odcisków typowych dla ludzi pracujących fizycznie. Wydawał się młody i stary jednocześnie, białe włosy go postarzały, lecz gładka skóra przywracała młodzieńczy wygląd. Mógł mieć zarówno dwadzieścia, jak i sześćdziesiąt lat, choć jego oczy były stare, czarne i przepastne, jakby wpatrywały się w studnię.

– Jak nazywa się następna miejscowość? – spytał niskim głosem.

– Cordes – odparł Madjid. – Cordes-sur-Ciel.

Nieznamy skinął głową.

– Jest tam krawiec?

– Monsieur Engel.

– A człowiek lub miejsce zwane Magellan?

Madjid zmarszczył brwi, przeszukując pamięć. Chciał pomóc temu mężczyźnie, bo on pomógł jemu, lecz ta nazwa nic mu nie mówiła.

– Przepraszam – odparł w końcu. – Ale nigdy nie słyszałem tej nazwy.

Było mu przykro, jakby zawiódł swojego dobroczyńcę.

Nieznamy zmarszczył brwi i ponownie skinął głową.

– Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas – odparł w końcu, po czym odwrócił się do LePoux. – Ta ziemia jest zepsuta – oznajmił, zrywając liść i podnosząc go do słońca, by lepiej zobaczyć pomarańczowe i czarne plamki na zielonym tle. – Wszystkie winorośle są zatrute escą, a biorąc pod uwagę stan twojej winni-

cy i sposób, w jaki traktujesz swoich robotników, nie zyskasz ani pieniędzy, ani współczucia, które pozwoliłyby uratować uprawy. Zbiory się nie udadzą i będziesz musiał to wszystko sprzedać, raczej wcześniej niż później. – Wypuścił liść i zwrócił się ponownie do Madjida: – Powinien pan stąd wyjechać – poradził mu. – Nie czeka tu pana nic oprócz bólu.

Madjid patrzył w milczeniu, jak nieznajomy odchodzi przez winorośle z powrotem do drogi. Z tyłu dobiegały go trzaski i sapania, gdy LePoux wstawał z ziemi.

– Wracaj do pracy – warknął właściciel. Podniósł połówki złamanego bambusa, spojrzął na nie i rzucił na ziemię.

Madjid rozejrzał się. Pomarańczowe i brązowe plamki zarazy znaczyły niemal wszystkie liście. Nieznajomy miał rację, te zbiory można było spisać na straty. A kiedy zaraza obejmie winnicę, LePoux zrzuci na niego całą winę, będzie go bił, wyzywał od nierobów i przegoni stąd, nie zapłaciwszy ani grosza. Musiał się stąd wynieść. Było to tak oczywiste, że poczuł, jakby nagle wyrwał się spod mocy jakiegoś zaklęcia. Zaślepił go pozorny brak innych możliwości i ślepa wiara w wartość ciężkiej pracy. Spojrzął ponownie w stronę obcego mężczyzny, który otworzył mu oczy. Nieznajomy był już prawie na drodze.

– Jak się pan nazywa?! – zawołał.

– Salomon – odparł mężczyzna, nie odwracając się. Mówił równie cicho, jak poprzednio, lecz jego głos brzmiał w uszach Madjida głośniejszy od krzyku. – Nazywam się Salomon Creed.

3

Komendant Benoît Amand z Policji Narodowej poczuł w kieszeni wibrowanie oznaczające, że ktoś próbuje się z nim połączyć. Ignorując je, wyciągnął rękę i przesunął palcem po swastyce, którą ktoś namalował sprayem na tablicy pamiątkowej. Czarna farba spłynęła na nazwiska wyryte w kamieniu i upamiętniające Żydów, których zapędzono do pociągów i wywieziono do obozów śmierci dwudziestego szóstego sierpnia 1942 roku. Usłyszał kroki na placu do gry w bule i chlupot wody nalewanej do wiadra.

– Chce pan zrobić najpierw zdjęcia? – spytał mężczyzna z wiadrem.

– Nie – odparł Amand, przechodząc obok niego i zmierzając przez La Place 26 Août w stronę Café Belloq po drugiej stronie placu. – Chcę, żeby pan to zmył i nie zostawił żadnego śladu.

W cieniu szerokiej czerwonej markizy siedział tłumek klientów, którzy zjedli właśnie śniadanie, a teraz popijali kawę, wpatrzyli w swoje telefony i gazety. Kilku z nich patrzyło właśnie na niego, między innymi właściciel lokalu. Jean-Luc Belloq. Czyścił fartuchem tę samą szklanę, odkąd przyjechał tu Amand.

Policjant sięgnął do kieszeni, przesunął dłoń obok telefonu i dotknął buteleczki z nitrogliceryną w kapsułkach. Odkręcił korek

jedną dłonią, by Belloq niczego nie zauważył. Minął wzniesioną w połowie scenę, część przygotowań do obchodów siedemdziesiątej rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej. Nie rozwieszono jeszcze banerów, inaczej wandal ze sprayem pewnie także by je zniszczył. Pozostała część placu była na razie pusta, stoliki do szachów i boiska do gry w bule nie zostały jeszcze zajęte przez starszków, którzy traktowali to miejsce jako klub towarzyski na świeżym powietrzu. Amand wziął w palce jedną kapsułkę, włożył ją do ust, udając, że kaszle, i schował pod językiem. Natychmiast poczuł, jak ucisk i duszność w piersiach ustępują. Znow zawi-brował telefon, uderzając lekko w buteleczkę z lekarstwami, lecz policjant ponownie go zignorował, skupiając się na oddechu, jak nauczył go lekarz. Wspiął się na schody prowadzące do kawiarni i przywitał skinieniem głowy tych nielicznych klientów, którzy nie byli turystami.

– Komendancie – powiedział Belloq, nadal wycierając tę samą szklanekę. – Ciągle nie mogę się przyzwyczaić do pańskiego nowego wyglądu. Zrobię panu kawę. – Odwrócił się i nagle znie-ruchomiał, po czym uderzył się dłonią w czoło, w teatralnym ge-ście. – Przepraszam. Żadnych środków pobudzających, prawda? To musi być frustrujące, kiedy człowiek zrzuci tyle kilogramów, a nadal ma serce zawodnika sumo.

Telefon w kieszeni przestał wibrować, a kapsułka pod języ-kiem wciąż rozszerzała żyły Amanda.

– O której godzinie otworzył pan dziś lokal? – spytał.

– Około szóstej, jak zawsze.

– Nie zauważył pan niczego podejrzanego?

– W jakim sensie?

– Na przykład kogoś, kto malował sprayem swastykę na ta-blicy pamiątkowej? – Belloq pokręcił głową. – Kogoś innego? – Ponownie zaprzeczył. – A co z kawiarnią, ktoś przyszedł tu przed panem?

– Zawsze jestem tu pierwszy.
– Kiedy zauważył pan graffiti?
– W ogóle nie zauważyłem. – Belloq wskazał głową na kelnerkę, która czyściła stoły na tyłach tarasu. – Ona je zobaczyła i powiedziała mi o tym, więc zadzwoniłem do pana.

– Czy ona się jakoś nazywa?
– Prawdopodobnie. Pracownicy wciąż przychodzą i odchodzą, a ja nie mam pamięci do nazwisk.

Amand skinął głową. Caffé Belloq słynęła z tego, że wyciska ze swoich pracowników wszystkie poty, a potem płaci im grosze.

– Mogę z nią porozmawiać? – spytał policjant i nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę kelnerki. Kiedy Belloq poszedł za nim, Amand przystanął i odwrócił się do niego: – W cztery oczy, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

Belloq wyglądał tak, jakby miał coś przeciwko, lecz z kawiarni doszedł ich dzwonek telefonu stacjonarnego. Sygnał brzmiał jak wołanie z przeszłości, bo wydawał go aparat z bakelitu, tak stary, że na powrót modny, choć w tym przypadku w grę wchodziło raczej skąpstwo właściciela, a nie chęć dostosowania się do trendów.

– Nie powinien pan tego odebrać? – spytał Amand. Belloq spojrzał na kelnerkę, po czym zawrócił i ruszył w przeciwną stronę. Policjant poczekał, aż właściciel zniknie we wnętrzu lokalu i dopiero wtedy podszedł do kelnerki.

– Mademoiselle? – przemówił, zatrzymując się przy stoliku. – Jestem Benoît Amand z Policji Narodowej. – Zaniepokojo-
na dziewczyna podniosła wzrok znad okruszków rogalika, które zgarniała właśnie na tacę. – Proszę się nie obawiać, nic pani nie grozi. Jak ma pani na imię?

Kelnerka zerknęła na kawiarnię, gdzie za szybą widać było Belloqą rozmawiającego przez telefon i patrzącego w ich stronę.

– Mariella – mruknęła.

– Mariello, monsieur Belloq mówi, że to pani zauważyła graffiti na tablicy. – Dziewczyna skinęła lekko głową. – O której godzinie to było?

– Kiedy przygotowywałam stoliki. Około wpół do siódmej.

– A kiedy powiedziała pani o tym monsieur Belloqowi?

– Jak tylko to zobaczyłam.

– Był tu wtedy ktoś jeszcze?

– Nie.

– Dziękuję, Mariello.

Ponownie skinęła głową i oddaliła się szybko, wdzięczna, że dał jej spokój.

Amand wrócił do kawiarni, spoglądając na mężczyznę z wiadrem, który czyścił tablicę pamiątkową. Swastyka kryła się teraz pod grubą warstwą mydlin spływających po kamieniu.

– Jest tutaj – powiedział Belloq, podając słuchawkę Amandowi, gdy tylko komendant wszedł do lokalu.

– Czy ten zegar dobrze chodzi? – spytał Amand, wskazując na mały zegar szafkowy, który pokazywał w kawiarni czas jeszcze przed wojną.

Belloq skinął głową.

– Nakręcę go i nastawiam codziennie rano. Dlaczego pan pyta?

– Bo chciałbym wiedzieć, dlaczego potrzebował pan aż trzech godzin, żeby poinformować nas o swastyce wymalowanej na żydowskim pomniku w pobliżu pańskiego lokalu.

Belloq wzruszył ramionami.

– Nie wydawało mi się to szczególnie ważne.

Amand wziął od niego słuchawkę. Natychmiast poczuł zapach tytoniu, którym czarny plastik przesiąkł na przestrzeni dzieścioleci.

– Amand, słucham.

– Dlaczego nie odbierasz swojego telefonu?

Komendant zeszywniał, zrozumiawszy, że sierżant jest naprawdę mocno czymś przejęty.

– Co się stało, Henri?

– Chodzi o Josefa Engla. Dzwoniła właśnie jego sprzątaczką. Jest rozhisteryzowana, mówi, że po całej pracowni biegają szczury. Parra już tam jedzie. Sprzątaczką twierdzi, że Engel został zamordowany.